Październik 2022

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

267

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

55-lecie SKPG HARNASIE

21–23.10.2022
Międzybrodzie Żywieckie

Ten numer MM ukazuje się tuż po imprezie z okazji jubileuszu 55-lecia naszego Koła. Mam nadzieję, że pełniejszą relację o tym, jak do Lecia doszło i jak ono przebiegało, przedstawi ktoś z organizatorów, tymczasem opisuję przebieg imprezy w redakcyjnym skrócie.

Impreza odbyła się w Ośrodku Wypoczynkowym „Niagara” w Międzybrodziu Żywieckim. W piątkowy wieczór spora grupa uczestników spotkała się na kolacji w formie grilla na świeżym powietrzu.

W sobotę po śniadaniu, mimo nie najlepszej pogody, nastąpił wymarsz grupy Harnasi i osób towarzyszących w góry. Celem był Żar, a dla nieco ambitniejszych również szczyt Kiczery. W wycieczce uczestniczyli głównie przedstawiciele starszych pokoleń, gdyż młodsi Harnasie przygotowywali w tym czasie wieczorną imprezę.

Żar zdobyliśmy spod dolnej stacji nieczynnej obecnie kolejki direttissimą wzdłuż wyciągu.

Po dojściu wszystkich uczestników i wykonaniu zbiorowego zdjęcia ruszyliśmy najpierw wspólnie, a potem w podgrupach – część na szczyt Kiczery, część wprost na przeł. Isepnicką.

Po powrocie do ośrodka i szybkim posiłku w postaci kanapek oraz kawy i herbaty mieliśmy przerwę na odpoczynek, a potem spotkaliśmy się na obiadokolacji.

O godz. 20:00 rozpoczęła się artystyczna część imprezy, poprzedzona przemówieniem Prezesa Jaśka Pizonia oraz prezentacją Harnasia z najmniejszym i największym numerem blachy. Tym pierwszym był Jacek Nabzdyk z blachą nr 8 – jeden z członków założycieli Koła. Największy numer blachy – 415 należał do Roberta Zaczka.

A potem zaczął się teatr. Przedstawienie na motywach „Balladyny” z licznymi nawiązaniami do Koła i kursu zaprezentowała ekipa złożona głównie z Harnasi blachowanych w 2016 r. Na swoim blachowaniu przedstawili sztukę opartą na „Dziadach” Mickiewicza, na 50-leciu mieliśmy okazję obejrzenia „Zemsty” Fredry, a teraz przyszedł czas na Słowackiego. Przedstawienie, akorstwo i kostiumy stały na wysokim poziomie i wymagały zapewne wielu tygodni przygotowań.

Po przedstawieniu wystąpił zespół „Póki co”, który wprowadził nas w poetyckie i lekko jazzowe klimaty.

Trochę obawialiśmy się, czy uda się zorganizować wspólne śpiewanie, bo ostatnio na dużych imprezach bywały konflikty między grupą gadającą i śpiewającą. Udało się jednak znaleźć dobre miejsce i śpiewanie trwało do 3 nad ranem.

W trakcie całej imprezy nie zabrakło oczywiście czasu na liczne spotkania i rozmowy Harnasi z różnych pokoleń. Dla wielu z nas jest to bowiem jedna z niewielu bądź jedyna okazja do spotkania dawnych znajomych i przyjaciół, z którymi spędziło się wiele pięknych chwil w górach.

W niedzielę po śniadaniu nastąpił czas pożegnań. Niektórzy wykorzystali jednak piękną pogodę, jaka nastąpiła po niezbyt pogodnej sobocie i udali się na wycieczki w góry. Grupa, z którą wybrała się Redakcja, liczyła 10 osób i zdobyła Kościelec, Jaworzynę oraz powtórnie Żar.

Jubileusz został przygotowany przez Komitet Organizacyjny w składzie:

- Anna Pasek „Paskuda” – przewodnicząca
- Dagmara Góralska-Zaczek
- Ala Nakonieczny
- Ewa Szabelska
- Kinga Konieczny-Pizoń
- Michał Wieczorek
- Sebastian Lenartowicz
- Jacek Przyłucki
- Robert Zaczek

W przedstawieniu wystąpili:

- Dagmara Góralska-Zaczek
- Małgorzata Musiał
- Ewa Szabelska
- Barbara Klisiewicz
- Jacek Przyłucki
- Sebastian Lenartowicz
- Robert Zaczek
- Bartłomiej „kruczek” Cisowski
- Staszek Wierzchowski

Grupa przed wyruszeniem na Żar.

Redakcja

GRAN PARADISO

Wojtek Spała

Nie miałem zbyt wielkiej ochoty na ten wypad. W zasadzie po ostatniej zimowej wyprawie z Bercikiem stwierdziłem, że jestem już zbyt stary na walkę z alpejskim śniegiem z ciężką liną w plecaku. Kilka tego typu wyjazdów w zupełności mi wystarczało. Kiedy jednak Bercik zwrócił się do mnie z taką propozycją, trudno mi było odmówić. Dopytałem tylko:

– A co Cię skłania do tego?

– Mój kumpel Grzegorz ma ochotę na zimowy czterotysięcznik i powiedziałem mu, że pojedziemy, jeśli i Ty się z nami zabierzesz.

Cóż – odmawiając, zawiódłbym w ten sposób aż dwóch ludzi. Co poradzić – niech będzie.

Ustaliliśmy, że polecimy moim wozem, ale będziemy się zmieniać za kierownicą. Wybraliśmy trasę przez Niemcy i Szwajcarię, z której do Włoch wjeżdżamy tunelem Gran San Bernardo. Dalej zjazd do Aosty, krótki kurs doliną do Villeneuve, gdzie skręt na Valsavarenche i aż do końca na wielki parking w Pont.

Po dotarciu na miejsce wypakowujemy graty, ładujemy na grzbiet i ruszamy w głąb doliny.

Bardzo szybko dobiega do naszych uszu dziwny, narastający szum, przechodzący od szelestu do całkiem głośnego hałasu. Spoglądamy w kierunku źródła tego hałasu na bardzo strome stoki, ograniczające dolinę i dostrzegamy… lawinę śnieżną. Pierwszy odruch – uciekać! Ale wystarcza chwila, by zrozumieć, że nie jest to jakaś wielka groźna lawina i raczej nam nie zagraża. Przez chwilę stoimy w miejscu, śledząc jej przebieg i co tu dużo mówić – szybko obawy przechodzą w podziw.

Ruszamy dalej i wkrótce się okazuje, że nie powitała nas zaledwie jedna śnieżna lawina, bo po tej pierwszej przychodzi kolej na następne. Podziwiając niekończące się widowisko, posuwamy się w głąb doliny, a kiedy z niej odbijamy w lewo, zaczynają się zupełnie inne „atrakcje”. Śnieg jest na tyle

cd. str. 2

rozmiękły, że co jakiś czas zarywa się pod uzbrojoną w rakietę stopę i zapada głęboko w dół. Jako pierwszy odczuwa to Grzegorz, który ma spore problemy, żeby się wygrzebać i postawić ponownie do pionu. W tym momencie nas to jeszcze rozbawia – kiedy wreszcie mu się to udaje, ruszamy dalej, zaś pochmurne początkowo niebo zaczyna się wypogadzać.

Niestety, głębokie wpadki w śnieg dopadają nas coraz częściej – i to nie tylko Grzegorza, ale każdego z nas. Zawodzą rakiety, ale zawodzą również – o dziwo! – narty, bo Bercika tak samo dopada to nieszczęście. Ponadto nie zawsze udaje się uzbrojoną w sprzęt nogę wyszarpać; czasami trzeba dokopać się rękoma do zapięcia, uwolnić się od rakiety czy narty, żeby potem wygrzebać je z głębokiego śniegu…

Klnąc najpierw pod nosem, potem już na głos, walczymy z tym nieprzewidzianym zjawiskiem. Każdy kolejny krok stawiam z rosnącym niepokojem – wytrzyma tym razem, czy znowu wpadnę głęboko w śnieg? Sytuacja powtarza się wielokrotnie, co kosztuje nas mnóstwo czasu. Dopiero wyżej śnieg twardnieje na tyle, że zaczyna wytrzymywać ciężar każdego z nas. Jednak zmitrężyliśmy tyle czasu, że do schroniska docieramy już po dziesiątej wieczorem. Załatwiamy zakwaterowanie, lekko obsztorcowani przez gospodarza schroniska:

– Trzeba było zarezerwować wcześniej, skoro chcecie nocleg o takiej późnej porze.

No, cóż – kto się mógł spodziewać takich warunków. Dostajemy miejsca na poddaszu – tam jest tak zwany Lager – i bez ociągania kończymy już to długie popołudnie.

Dzień pierwszy

Wczesnym rankiem budzi nas gwar wstających ludzi wyruszających w góry, ale nas nic nie jest w stanie wyrwać z betów. Odsypiamy trudy podróży i dotarcia do schroniska, wstając dopiero o mocno zaawansowanej porze dnia. Robimy sobie śniadanie w pustej już jadalni, obmyślając cel wycieczki aklimatyzacyjnej. Niespiesznie się przygotowujemy do drogi, by w końcu opuścić schronisko Vittorio Emanuele II – Bercik od razu na nartach, a my z Grzegorzem z przytroczonymi do plecaków rakietami śnieżnymi. Bardzo szybko jednak się okazuje, że trzeba je przypiąć do butów. Nie dlatego, że się zapadamy w śniegu, ale wręcz przeciwnie – śnieżna skorupa jest tak twarda, że buty się na niej ślizgają, więc bardzo się przydadzą kolce, w które rakiety są wyposażone.

Kierujemy się przez Ghiacciaio di Moncorve – czyli lodowiec – na Colle di Moncorve. Bercik zostaje nieco w tyle – nic dziwnego, skoro w jego plecaku mieści się lina, którą zabraliśmy ze sobą, licząc się z ewentualnym niebezpieczeństwem w postaci szczelin w lodowcu. Nie odczuwamy jednak konieczności asekuracji, w czym jeszcze dodatkowo utwierdza nas liczna grupa narciarzy, których spotykamy poniżej przełęczy i którzy właśnie ruszają w dół w szaleńczym pędzie.

Po chwili cała grupa znika nam z pola widzenia, a my z Grzegorzem, pokonując ostatnie metry, osiągamy przełęcz. Robimy po kilka zdjęć, głównie na niewidoczną do tej pory część świata, przez chwilę odpoczywamy, a gdy widzimy już Bercika przecinającego zakosami ślady naszych rakiet, zbieramy się do drogi powrotnej. W końcu on śmignie w dół niczym błyskawica, podczas gdy my będziemy sobie powoli człapać. Każdy z nas idzie swoim tempem, przystaje dla widoków w miejscach przez siebie dowolnie wybranych, szybko więc tworzy się między nami dystans i praktycznie każdy z nas zostaje sam na sam z górami...

Grzegorz się wysforowuje do przodu, ale potem go dopędzam, kiedy ten postanowił sobie po prostu posiedzieć na śniegu i w tej pozycji delektować się białymi szczytami Alp. Później już podążamy w niewielkim odstępie w stronę coraz bardziej rosnącego w oczach schroniska. Kiedy docieramy do celu, uświęcamy go zakupem piwa i sącząc je powoli w ciepłych promieniach słońca, wypatrujemy Bercika. Jakoż wkrótce dostrzegamy naszego towarzysza, który postanowił dłużej się rozkoszować samotnym obcowaniem z potęgą alpejskich szczytów.

Wkrótce jesteśmy już w komplecie. Nieco czasu spędzamy w naszej sypialni pod samym dachem, ale jako że nie oferuje ona zbyt wielu wygód, to schodzimy na dół, przesiadując najpierw jeszcze na zewnątrz, a kiedy zapada ciemność i nadciąga chłód, wracamy do jadalni. Tu spędzamy wesoły wieczór, wspominając przeszłe wypady oraz snując plany na dzień następny. Jako jedni z ostatnich udajemy się w końcu na poddasze, by ułożyć się do regenerującego siły snu.

Dzień drugi

Kolejnego dnia wstajemy już nieco wcześniej, jednak i tak należymy do maruderów. Kiedy szykujemy sobie śniadanie, wiele ekip właśnie wyrusza w trasę i gdy przychodzi nasza kolej, wokół schroniska jest już dosyć pusto. Wczorajszy długi wieczór zaowocował wyborem trasy na dziś – celem tego dnia będzie Giacciao di Monciair, a jeśli się uda, to również Colle del Ciarforon, która to przełęcz jest trudniej dostępna od wczorajszej Colle di Moncorve.

Początek trasy jest łatwy, a przy tym dostarcza mnóstwo wspaniałych widoków – zwłaszcza, gdy spoglądamy na dosyć już dalekie ludzkie sylwetki, poruszające się ponad groźnie urywającym się progiem lodowca. My jednak kierujemy się w inną stronę. Wkrótce łagodny do tej pory teren zaczyna stawać dęba. Najpierw wykonujemy zakos w lewą stronę, kiedy jednak zbliżamy się do skał, pora zwrócić się w prawo, mierząc się z coraz większą stromizną. Czuję narastający z każdym kolejnym krokiem respekt do naszej trasy. Pojawiają się wątpliwości co do słusznego wyboru dzisiejszego celu, jednak na razie jeszcze nie odstępujemy od powziętych zamierzeń.

Udaje się nam jednak dotrzeć na przełęcz, a że nad nią wznosi się jeszcze – już łatwiej dostępny – kuszący szerszymi widokami garb, to decydujemy się wspiąć odrobinę wyżej, niż początkowo zamierzaliśmy. I oto osiągamy najwyższy punkt naszej dzisiejszej trasy – punkt, z którego widoki wprost zapierają dech w piersiach. Rozglądamy się na wszystkie strony, chłonąc zachłannie klimaty najwyższych szczytów Alp, z Mont Blanc włącznie. Uwieczniam Grzesia w pełnym ekwipunku, z czekanem i rakami – wdrapaliśmy się tutaj jedynie we dwóch, gdyż Bercik wolał pozostać w rejonie bardziej stosownym dla turystyki narciarskiej – a Grześ jeszcze robi nam selfie, po czym bardzo ostrożnie rozpoczynamy drogę powrotną.

Po pokonaniu najtrudniejszego odcinka, gdzie schodziliśmy tyłem, możemy się z powrotem odwrócić w kierunku marszu, a że widoczność robi się coraz lepsza, więc wykorzystuję funkcję teleobiektywu, robiąc zbliżenia na co bardziej przyciągające wzrok fragmenty grani, często kierując spojrzenia w stronę nie tak znowu odległego Mont Blanc. Popołudniowe godziny zmuszają nas także do stopniowego pozbywania się wierzchnich warstw odzienia. Idzie się już teraz znacznie lżej – nie dość, że w dół, to jeszcze po wydeptanym rano śladzie, chociaż śnieg rozmięka i rakiety zanurzają się odrobinę głębiej. Wkrótce też daje się dostrzec w dali lśniący dach schroniska. To nam dodaje skrzydeł, szybko zatem zbliżamy się do lokalnej cywilizacji, zostawiając za sobą długą, lekko zakręconą nitkę odciśniętego w śniegu śladu rakiet.

Po dotarciu do schroniska spotykamy się z naszym trzecim kompanem i po chwili przy piwku wymieniamy wrażenia. Panuje ogólny gwar, ale solidnie operujące słońce nieco nas rozleniwia, skłaniając niektórych do krótkiej drzemki. Zaglądam jeszcze na niewielki metalowy taras pod samym dachem, na który można wyjść z poziomu naszej sypialni, a resztę kończącego się dnia spędzamy na pogawędkach, wspieranych niewielkimi procentami…

cd. str. 3

Dzień trzeci

Tym razem wstajemy już wcześniej, jako że dziś w planie mamy nasz gwóźdź programu – Gran Paradiso. Wiemy, że na całej trasie lina nie będzie potrzebna, natomiast przydałby się chociaż krótki jej kawałek na ostatnich metrach, gdyż sam wierzchołek jest skalisty. Problem tkwi w tym, że na te kilka metrów nie chce się nam targać na grzbiecie długiej i ciężkiej liny Bercika, a przecież nie odetniemy z niej małego fragmentu. W tym momencie żałuję, że nie zabrałem z domu swojej kilkunastometrowej liny, przygotowanej na takie właśnie okoliczności. Swego czasu użyliśmy jej z Bercikiem, zdobywając Grossglockner, chociaż trzeba było wtedy nieco kombinować z uwagi na jej niezbyt imponującą długość. Cóż – tutaj byłaby w sam raz, ale skoro nie ma, to ruszamy bez niej.

Słońce barwi jeszcze szczyty na czerwono, gdy około 7:15 opuszczamy schronisko. Zaraz od zabudowań skręcamy na północ, obchodząc opadający stromo w naszą stronę zachodni grzbiet Becca di Montcorve, stanowiący najbardziej na południe wysunięty trabant Gran Paradiso. Posuwamy się skosem w górę, na razie jeszcze w cieniu wysokich grani. W miarę, jak słońce się wznosi, ciemne stożki szczytów po wschodniej stronie powoli spływają po zachodnich zboczach, ustępując potężniejącej, opromienionej śnieżnej bieli.

Każdy z nas idzie swoim tempem – Grzegorz się wysforowuje do przodu, za mną postępuje na nartach Bercik. Nie idziemy zbyt szybko, więc po chwili wyprzedza nas trzyosobowa ekipa bardziej zaprawionych w boju narciarzy. Prognozy na dziś są optymistyczne, więc mamy wystarczająco dużo czasu, który wykorzystujemy do podziwiania wspaniałych widoków. Każdy z nas inaczej podchodzi do robienia zdjęć – ja pstrykam ich sporo, ale w którymś momencie i tak zmieniam się prowadzeniem z Grzegorzem. Później znów sytuacja się odwraca, a kiedy osiągamy pozbawiony śniegu fragment skały już w pełnym słońcu, zasiadamy do krótkiego odpoczynku. Nie my jedni zresztą, a że wszechobecne wieszczki znają zwyczaje żywieniowe wędrowców, to już kołują nad nami, lądując raz po raz w poszukiwaniu okruchów.

Z Bercikiem się umawiamy, że jemu nie zależy na szczycie, więc mamy iść, nie oglądając się na niego, a w którymś momencie gdzieś się i tak spotkamy. Ruszamy dalej, stopniowo zyskując na wysokości i osiągając wkrótce widokowe miejsca w pobliżu grzbietu, o który opiera się Ghiacciaio del Gran Paradiso. Doskonale stąd widać piramidę Tresenty, którą mieliśmy okazję oglądać poprzednio z drugiej strony. Nieco dalej nasza przełęcz i za nią Ciarforon – jesteśmy już teraz wyżej, niż w minione dwa dni. Mamy również dosyć liczne towarzystwo – niektóre grupy zjeżdżają już z góry. Ewidentna przewaga nart, ale również żelazna kondycja oraz silna wola, aby wstać i wyruszyć jeszcze przed świtem.

Podziwiam śnieżne organy, jakie wyżłobił wiatr w stromym zboczu, opadającym w naszą stronę spod kopuły szczytowej Gran Paradiso – wprawdzie nieme, za to ogromne. Kierujemy się w pobliże wystających ponad biel lodowca skalnych kłów, urywających się gwałtownie na południową stronę.

Wyobraźnia czasem podpowiada nazwy dla niektórych co bardziej fantastycznych kształtów – jakiegoś ślimaka czy wielbłąda, zaś po lewej daje się już wyraźnie dostrzec posążek Matki Boskiej na samym wierzchołku.

Oddycha się nieco trudniej – wysokość robi swoje – ale otaczające nas zewsząd widoki stwarzają doskonałe usprawiedliwienie dla coraz częstszych przystanków; po prostu żal by było nie napatrzyć się do syta na ogrom alpejskich szczytów i przełęczy. Zaraz po południu osiągamy południową grań Gran Paradiso, gdzie narciarze odpinają swoje deski. Teraz już z czekanem w ręku podchodzimy tuż poniżej wąskiej grani, jednak nie odmawiam sobie przyjemności zaglądnięcia również na jej przeciwną, wschodnią stronę. Docieramy do skalistego wierzchołka, gdzie akurat jakiś asekurowany liną zespół bardzo powoli stawia kolejne kroki. Wygląda na to, że skały są oblodzone, więc przy tej ekspozycji nie zaryzykujemy przejścia tych kilkunastu metrów. Przychodzi mi do głowy pomysł, żeby sprawdzić możliwość wejścia z przeciwnej strony, decydujemy się zatem na ostrożny trawers śnieżną półeczką pod samymi skałami. Jak się należało spodziewać, tutaj również czeka uskok – chociaż niewielki, to jednak w tych warunkach budzący respekt. W przypadku ześlizgnięcia nie byłoby najmniejszych szans, aby się zatrzymać. Zadowalamy się wspięciem paru metrów i dotknięciem dłonią samego szczytu Gran Paradiso – tyle mieści się w ramach dopuszczanego przez nas ryzyka.

Uwieczniamy się w tym miejscu, po czym nadal bardzo ostrożnie – co jednak nie przeszkadza mi w robieniu zdjęć – wracamy na przełączkę z magazynem nart. Spod twardego śniegu, na którym zostają po nas jedynie odciśnięte ślady raków, wygląda tu i ówdzie błyszcząca w słońcu pokrywa lodowa, więc rakiety muszą jeszcze poczekać na swoją kolej. Nie zmieniamy tego nawet, kiedy spotykamy zmierzającego w górę Bercika na nartach, który w tym momencie stwierdza, że osiągnięta wysokość w pełni go satysfakcjonuje i po chwili rozpoczynamy odwrót – we trójkę, chociaż różnymi stylami.

W okolicach skalnych kłów zbaczam nieco w lewo, podchodząc na samą krawędź urwiska, by rzucić na nie okiem. Niżej śnieg na coraz bardziej nasłonecznionym stoku zaczyna stopniowo rozmiękać, co powoduje niezbyt miłe niespodzianki. Kiedy Grzegorz w końcu zapada się po pas, zmieniamy raki na rakiety, zmniejszając znacznie ryzyko zbytniego zagłębiania się w białą maź. Im niżej, tym jest jednak gorzej – nawet narty Bercika zaczynają się zanurzać bardziej, niż by chciał. Mamy już jednak dosyć blisko do stopniowo rosnącego w oczach schroniska, więc jakoś przezwyciężamy trudności, nie w pełni zdając sobie w tym momencie sprawę, co będzie nas czekało następnego dnia…

Ten wieczór spędzamy głównie przy winie Barbarossa w opustoszałym schronisku – jest niedziela wieczór, więc zdecydowana większość turystów już udała się w doliny. My zostawiamy sobie powrót na dzień następny.

Powrót

Nie spieszymy się rano, opuszczając schronisko za kwadrans dziesiąta. Wprawdzie pamiętamy zapadanie się w śniegu podczas podejścia z doliny, a także mamy świeżo w pamięci wczorajsze pułapki, jednak to wszystko miało miejsce w godzinach popołudniowych, kiedy nagrzany słońcem śnieg rozmiękał, stwarzając niemiłe niespodzianki. Tym razem zamierzamy się uporać z zejściem do południa, więc zakładamy, że wszystko pójdzie gładko. Bercik szybko zjedzie na nartach, a my z Grzegorzem, wprawdzie wolniej, ale przecież od dna doliny dzieli nas w linii prostej zaledwie dwa kilometry i 750 metrów w pionie. Jakżeż się w tym względzie mylimy…

Początkowo idzie nam się dobrze; więcej problemów ma Bercik w miejscach, gdzie spod wytopionego śniegu wyziera goła skała. Pogoda sprzyja – chmury ograniczają szybki wzrost natężenia promieni słonecznych, wkrótce jednak zaczynamy odczuwać ciepło. Stopniowo pojawiają się pułapki rozmiękłego śniegu, najpierw z rzadka, potem coraz częściej. Myślałem, że na udeptanym szlaku nie będzie tak źle, jednak raz po raz wpadamy aż po uda. W pewnym momencie się rozdzielamy – Bercik na nartach daje sobie tutaj radę, natomiast my z Grzegorzem próbujemy dziewiczego terenu. Obniżamy się do zagłębienia, którym w lecie płynie potok La Chante, jednak szybko się okazuje, że to wcale nie polepsza naszej sytuacji. Robimy po trzy, cztery kroki i… łup! – zapadamy się głęboko w śnieg. A co najgorsze, to po takiej wpadce śnieg się zapada do dziury, zasypując nogę, zakotwiczoną przez rakietę śnieżną. Ze dwa razy może udaje mi się jakoś wyszarpać kończynę jedną, drugą, ale coraz częściej trzeba po prostu wygarniać łapami śnieg dookoła, żeby się z pułapki uwolnić. Droga, którą mieliśmy szybko i sprawnie pokonać, zaczyna urastać do poważnego wyzwania. Zdarza się, że po dziesięciu minutach „marszu" udaje mi się przesunąć o dwadzieścia metrów.

Rozglądam się za Grzegorzem – gdzieś tam walczy w analogiczny sposób. Tylko pozazdrościć Bercikowi i jego nartom.

Zastanawiam się nad odpięciem rakiet – może będę się zapadał jeszcze częściej, za to łatwiej będzie się spod śniegu uwolnić?

W tej nieustającej i wyczerpującej walce z prawdziwą radością witam ogołocony ze śniegu fragment zbocza, lecz wkrótce zabawa zaczyna się od nowa. Przestaję już nawet robić zdjęcia, bo czas płynie nieubłaganie, a dobrze by było wyjść z tej opresji cało i przed zmrokiem.

Dalsza droga, dalsza walka – każdy krok mozolnie wyrywany podstępnej naturze, aż w końcu śnieg staje się płytszy i już daje się w nim

cd. str. 4

brodzić zaledwie po kolana; jaka ulga!

O 15:10 docieramy z Grzegorzem na parking – w niewielkim odstępie czasu – domyślając się, że Bercik musi się już nieziemsko niecierpliwić. Tymczasem… zaskoczenie. Bercika nie ma. Ani przy samochodzie (kluczyki mam ja), ani w pobliżu. Gdzież on się mógł podziać?! Sprawdzamy wszystko w najbliższej okolicy – nie ma! Wcięło go… Nie wrócił z gór? Na nartach?! Czy coś mu się przytrafiło?

Niepokój szarpie sercem – powinien tu być od paru godzin. Jest dylemat – wzywać pomoc już, czy jeszcze poczekać? Jeśli tak, to ile? My czekamy, a on być może potrzebuje natychmiastowej pomocy?

I wreszcie… jest! Wyłania się z głębi doliny, powoli się do nas zbliżając. Na nartach? Tak długo mu zeszło?! I wtem – na naszych oczach – Bercik zapada się po uda. Na nartach. Wszystko staje się jasne – wcale nie było mu łatwiej niż nam. Ale co za ulga – jesteśmy w komplecie, cali i zdrowi, tylko diabelsko wymęczeni. To była najtrudniejsza trasa tego wyjazdu!

Teraz już tylko zostaje się spakować do samochodu, jeszcze chwilę posiedzieć przed daleką drogą, po czym wyruszyć w ostatni etap tego wypadu: do domu

Wojtek Spała

ZKSR 2022

W drugą niedzielę października udało się zorganizować tradycyjną imprezę rowerową pod tytułem Zakończenie Kołowego Sezonu Rowerowego. Ustalenia trasy i terminu dokonaliśmy z Jasiem Kowalikiem – który był niegdyś pomysłodawcą tego typu imprez – na forum Koła. Postanowiliśmy dokończyć szlak Leśno Rajza, którego zachodnią połowę przejechaliśmy rok temu. Początkowo zapowiadało się dość kameralnie, ale ostatecznie na starcie pod Biedronką w Świerklańcu zjawiło się 15 osób, w tym dwie (nie zdradzę kto) na e-bike'ach.

Na początku było dość rześko, ale z upływem czasu robiło się coraz cieplej i słoneczniej. Po drodze w kierunku doliny Małej Panwi i Zalewu Zielona, Jasiu pokazał nam w Kolonii Woźnickiej ciekawy okaz starego graba, który nie jest nigdzie opisany czy zaznaczony na mapach.

Zdobywcy Jackowej Góry.

Nad Zalewem Zielona doznaliśmy rozczarowania – po 20 km miała być kawa i/lub piwo, tymczasem wszystkie punkty gastronomiczne były pozamykane. Z nadzieją, że znajdziemy coś w Kaletach pojechaliśmy dalej. Niestety, restauracje w Kaletach były przepełnione lub miały rezerwacje. W tej sytuacji nawet obiad, który planowaliśmy pod koniec trasy stanął pod znakiem zapytania.

Od czego jednak mieliśmy koordynatorkę d/s wyszynku w osobie Oli, która podczas naszych wspólnych wyjazdów rowerowych wykazała się zdolnościami organizacyjnymi w tej materii. Po kilku telefonach mieliśmy zarówno miejsce na kawę, jak i na obiad.

Pierwszy obiekt – „Bar u Michała" – znajdował się niedaleko i choć nie był zbyt wytworny, to miał wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Po „kawie" skierowaliśmy się na południe, w stronę Jackowej Góry. Planując trasę, odkryłem, że to niepozorne wzniesienie liczące sobie 321 m n.p.m. jest jedną z 51 gór i górek wchodzących w skład Korony Województwa Śląskiego ustanowionej niedawno przez Górnośląski Oddział PTTK. A ponieważ szczyt znajdował się ok. 200 m w bok od naszej trasy, dlaczego mielibyśmy go nie zdobyć. Na miejscu okazało się, że zdobycie szczytu rowerem wcale nie było banalne – głównie dlatego, że nie prowadziła nań żadna ścieżka, a spory fragment zbocza został wykarczowany. Jedynie Waldkowi udało się wjechać, reszta wcześniej lub później musiała zejść z roweru.

Jedziemy brzegiem zalewu Nakło-Chechło.

Tym niemniej wszyscy zaliczyli szczyt, co zostało udokumentowane zdjęciem strażackim. Uczestnicy dostali też kartki z listą wszystkich szczytów Korony.

Kolejnym przystankiem na trasie był zalew Nakło-Chechło. Zwykle jest to miejsce bardzo zatłoczone, ale tym razem było wyjątkowo spokojnie i sielsko. Jesienne, niskie słońce, drzewa w jesiennych barwach odbijające się w wodzie i ładne widoczki skusiły nas, by się na chwilę zatrzymać.

A potem dotarliśmy do restauracji „Dworek pod akacją", w której czekał już na nas stół przygotowany na 15 osób. Po smacznym obiedzie pozostało nam tylko 3,5 km do mety. W sumie przejechaliśmy 54 km.

Kolejne Zakończenie Sezonu za nami, co wcale nie znaczy, że przestajemy jeździć!

W imprezie wzięli udział: Jasiu i Danka Kowalik, Jacek i Jola Ginter, Lila Cader i Piotr Sąsiedzki, Marta i Waldek Kubiczek, Asia Śliwa, Janusz Mroczek i Lucyna, Ola Ginter, Raketa i Lidka, Witek Wolny.

Redakcja

TO BYŁO

✔ 8–9.10 **Złota jesień z Harnasiem** na Dzikim Zachodzie z zakończeniem w chatce SKPS Wrocław w Górach Bystrzyckich.

✔ 14–16.10 odbył się egzamin praktyczny kursu 2021/23. Do egzaminu przystąpiło 9 osób. Wynik egzaminu to 7:2 dla kursantów.
Z wynikiem pozytywnym egzamin zakończyły następujące osoby: Paweł Blajda, Jagoda Bosek, Alicja Janicka, Małgorzata Kordiuk, Marcin Mikołajczyk, Klaudia Odrozek i Aleksandra Pilorz. Komisja pracowała w składzie: Bartłomiej Cisowski – przewodniczący, Stanisław Wierzchowski, Dariusz Paździorek.

✔ **21–23.10.2022** w OW Niagara w Międzybrodziu Żywieckim odbyło się **55-lecie SKPG „Harnasie"**.

✔ 27.10 godz. 18:00 PasCudne Śpiewanki – jak sama nazwa wskazuje, u Paskudy.

✔ 28–30.10 Drugi termin egzaminu praktycznego z Komisją Egzaminacyjną w składzie: Bartłomiej Cisowski – przewodniczący, Jan Pizoń, Krzysztof Krawiec zakończył się wynikiem 2:0 dla kursantów. Zdali: Kasia Pypno i Bartosz Gajowski. Na blachowaniu w lutym 2023 r. czeka nas zatem rekordowa liczba tortów od blachowanych – 9 sztuk.

TO BĘDZIE

❋ 18–20.11 Rajd „Studenci Górom" czyli weekendowa wędrówka po Beskidzie Małym z metą w Chatce na Rogaczu.

❋ 26–27.11 **Blachowanie kursu 2020/2022** – zwanego również kursem starszym/covidowym/jełopskim – odbędzie się w Małych Pieninach w Górskim Ośrodku Szkolno-Wypoczynkowym „Pod Durbaszką". Zapraszają blachowani: Arleta, Martyna, Daniel, Krzysiek, Krzysiek i Sylwa

❋ 2–4.12 Rajd Mikołajkowy z metą w Chatce AKT na Pietraszonce.